

JAK GNIJE WŁADZA

Początek jest nieuchwytny, ale proces gnicia obozu rządzącego jest immanentną cechą polityki. Każdego obozu rządzącego. Przychodzi zawsze, zawsze doprowadza do przegranej, a czasem do klęski. Wszystko wskazuje na to, że w rządzie Prawa i Sprawiedliwości rozpoczął się bardzo wcześnie, zaledwie po nieco ponad dwóch latach rządów.

W latach osiemdziesiątych, gdy Wojciech Jaruzelski był premierem, I sekretarzem KC PZPR, przewodniczącym WRON i ministrem obrony narodowej, żelaznym punktem jego rozkładu dnia było oglądanie *Dziennika Telewizyjnego*. Gdy o 19.30 trwały jeszcze narady najważniejszych wówczas gremiów decyzyjnych – a trwały niemal zawsze, bo Jaruzelski pracowicie bił rekordy „naradogodzin” z czasów panowania Władysława Gomułki – posiedzenia przerywano, aby dyktator mógł obejrzeć swój ukochany program.

■ UWIERZYĆ WE WŁASNĄ PROPAGANDĘ

Co ważniejsze i najbardziej zadziwiające, Jaruzelski wierzył w wylewającą się z *Dziennika Telewizyjnego* propagandę. Sam ją tworzył i sam w nią wierzył! I akurat w tym w ogóle nie różnił się od dzisiejszych, demokratycznie wybieranych polityków. Ci, wspierani przez partyjnych PR-owców, zalewają nas podczas kampanii wyborczych propagandą i sami się jej poddają. Dlatego gdy po wygranych wyborach zajmują rządowe gabinety, są pełni wigoru i wiary, że za chwilę zaczną zmieniać rzeczywistość według własnej wizji. Pewni, że świat jest zbudowany z plasteliny, więc do jego uformowania potrzeba wyłącznie nowych pomysłów i determinacji. Podobnego zdania są ich wyborcy. Im dłużej świeżo mianowany minister zasiadał w opozycji, im więcej propagandowych haseł wykrzyczał podczas partyjnych i kampanijnych wieców, tym entuzjazm i przekonanie o własnej wszechmocy większe. Wystarczy przypomnieć

sobie Andrzeja Dudę, który w drodze do Pałacu Prezydenckiego mówił do swoich rozentuzjowanych zwolenników, że będzie „niezłomnym prezydentem”, a Polska stanie się „krajem płynącym mlekiem i miodem”.

To przekonanie, mocne w Prawie i Sprawiedliwości w listopadzie 2015 roku, czyli w momencie zaprzysiężenia gabinetu Beaty Szydło – prawica miała wtedy stabilną większość w parlamencie i „własnego” prezydenta – pogłębiło się jeszcze w następnych miesiącach. Rząd parł do przodu, miażdżąc wszystkie przeszkody i wyciągając kolejne kotwice demokratycznego państwa. Pierwszą było odstąpienie od obowiązujących w administracji państwowej zasad służby cywilnej. Jeden z wiceministrów z pełnym przekonaniem tłumaczył mi wówczas, że to niezbędne, bo ministerstwa pełne są ludzi, którzy rozpoczęli w nich pracę jeszcze w czasach Gomułki i nie będą w stanie realizować „nowoczesnej polityki” nowych władz. Dziś widać, że naczelnym powodem odstąpienia od reguł służby cywilnej była chęć znalezienia posad dla swoich ludzi; ale nowi ministrowie naprawdę wierzyli, że rządowe posady pełne są „peerelowski złogów”, które wystarczy zamienić na swoich politycznych ziomków i administracja stanie się sprawna i przyjazna obywatelom, a cała państwowa machina zacznie pracować niczym szwajcarski zegarek. Nie zaczęła. Najbardziej jaskrawym przykładem niekompetencji stało się Ministerstwo Spraw Zagranicznych, gdzie długoletnie doświadczenie „robi różnicę”.

■ CZARODZIEJE WYRZEŻBIĄ NOWY ŚWIAT

Wprowadzenie programu 500+, zniesienie obowiązku szkolnego dla sześciolatków, podatek bankowy, likwidacja gimnazjów, powołanie Wojsk Obrony Terytorialnej, znaczące osiągnięcia w likwidacji niezależności sądów, które przez PiS i znaczną część jego elektoratu były uznawane za ostoję liberałów, zdawały się wskazywać, że „czarodzieje z PiS” naprawdę rzeźbią świat z łatwością i precyzją Michała Anioła. Dodajmy do tego sukcesy – teraz okazuje się, że mocno naciągane – w walce z „mafią VAT-owską” i wielkie wizje tzw. programu Morawieckiego, który miał Polskę zmienić w gospodarcze

mocarstwo z apetytem na podbój kosmosu. Zarzuty, że „walcowanie” niszczy nie tylko obowiązujące na świecie doktryny ekonomiczne, ale również państwo prawa, rządzący i jego wyborcom nie przeszkadzało. Przeciwnie. Jak to ujął Kornel Morawiecki, *wola narodu jest ważniejsza niż prawo*. Dla wyborców PiS-u stosowanie siłowych rozwiązań jest dowodem skuteczności ich rządu. Ta mityczna skuteczność podoba się nie tylko żelaznemu elektoratowi prawicy, ona przemawia do znacznie większej grupy ludzi, również do młodych.

Do dużej części społeczeństwa trafiała również – to zawsze w naszym kraju działa – retoryka związana ze „wstawianiem z kolan”. Polacy, którzy od 1989 roku zanotowali rzadko na świecie spotykany sukces gospodarczy, którzy z peryferyjnego, zbankrutowanego i politycznie nic nieznaczącego Peerelu uczynili jeden z ważniejszych krajów Unii Europejskiej, dali sobie wmówić, że żyją w kondominium. Rządzonym przez namiestników protektoracie Niemiec i Rosji (niektórzy dodawali jeszcze Żydów), w którym bezkarnie zabija się prezydenta, rozkrada państwowy majątek, a członkowie rządu – niczym Rosjanie w Polsce lat 1944-1956 – to tylko „tymczasowi Polacy” czekający w korytarzach mafijnych bossów, aby usłużnie ucałować ich upierścienione dłonie. PiS umiejętnie, przez całe lata, sączył ten jad do głów Polaków i nietrudno było przewidzieć, że w końcu zatruje on znaczną część społecznego organizmu. Nietrudno, bo w naszym narodowym charakterze od stuleci tkwi przekonanie, że jesteśmy przez świat niedoceniani i lekceważeni. „Dymani” – mówiąc językiem młodzieży.

Nagle, po ćwierćwieczu niepodległości, znaczna część Polaków uznała, że od teraz będziemy „suwerenni”, a ową wyśnioną suwerenność dadzą nam działający pod batutą Naczelnika Kaczyńskiego: Beata Szydło, Mariusz Błaszczak i Antoni Macierewicz. Na warszawskich salonach władzy, ale również w znacznej części polskich domów Unia Europejska przestała być sojuszem wartości, stała się bankomatem. „Elektroniczny kasjer” jest tylko maszyną do wyciągania korzyści finansowych, a z maszyną się nie negocjuje ani jej nie ulega. Na szczęście rządowi PiS-u starczyło rozumu – a może nie starczyło czasu – aby w podobny sposób potraktować NATO. Za to w stosunkach z Europą Zachodnią pokazaliśmy gombrowiczowską „mordę” – szpetną, nieskorą do kompromisów, agresywną.

■ BO POLAK KOCHA SILNĄ WŁADZĘ

Zakompleksionemu „suwerenowi” ta polityka rodem z Brzeszcz i Tuczna (miejscowość, w której stoi słynna stodoła Jana Szyszki) bardzo się spodobała. Między Bugiem a Odrą agresja często uchodzi za siłę i niezłomność, a wstrzeмиęźliwość i dążenie do kompromisu są utożsamiane ze słabością. Bo wielu Polaków darzy „silną władzę” jeśli nie miłością, to na pewno szacunkiem. Demokracja, z jej procedurami i szukaniem kompromisu, kojarzy się nam z niezdecydowaniem, rozmemłaniem i słabością. Stąd miłość do Józefa Piłsudskiego, który satrapą nie był, ale posłów rugał słowami, przy których nawet słynne wystąpienie Jarosława Kaczyńskiego o *mordach zdradzieckich* jest kaszką z mlekiem.

Jak bardzo kochamy „silną władzę”, udowodniliśmy w Peerelu. Nie licząc tego szczególnego momentu, jakim był Październik, Władysław Gomułka największą sympatią i popularnością wśród znacznej części Polaków cieszył się w roku 1968, gdy rozprawił się z rodzącą się opozycją demokratyczną – ową „bananową młodzieżą”, którą stać było na gaszenie papierosów w słoikach dżemu – i przede wszystkim z Polakami żydowskiego pochodzenia. Tę sympatię do Gomułki podbiła jeszcze haniebna i niezgodna z naszym interesem narodowym napaść na Czechosłowację, gdy polskie wojsko, współ z Armią Czerwoną, czołgami rozjeżdżało naiwne nadzieje Czechów i Słowaków na zbudowanie „socjalizmu z ludzką twarzą”. Nie wszyscy uczestnicy „masówek” organizowanych w latach 1967-1968 dla potępienia „syjonistów” byli tam spędzani siłą. Nie wszyscy, którzy we Wrocławiu, w Krakowie czy Szczecinie kwiatami witali wracające z Czechosłowacji jednostki 2. Armii Wojska Polskiego, dowodzone przez generała Floriana Siwickiego, byli do tego zmuszeni. Do dzisiaj zresztą gdzieniegdzie na prawicy chwali się Gomułkę za napaść w 1968 roku na naszego południowego sąsiada, powołując się na niby pragmatyczne „lepiej, że my napadamy, niż na nas napadają”.

Siła i zdecydowanie – oto co imponuje Polakom. Bo siła i zdecydowanie są utożsamiane ze skutecznością. Gdyby Gomułka wprowadził podwyżkę cen żywności jesienią 1968 roku – zamiast czekać z tym do grudnia 1970 roku – Polacy, uskrzydleni peerelowską „mocarstwowością”, pewnie nie wyszliby na ulice. Gomułka zafundował nam jednak podwyżkę dwa lata później i tydzień po swoim największym sukcesie – układzie z Niemiecką Republiką Federalną,

ostatecznie sankcjonującym polską granicę zachodnią. Tyle że umowa z kanclerzem Willym Brandtem została zawarta przy negocjacyjnym stole. Dla Polaków, wiecznych bojowników przegranej sprawy, taka umowa miała, używając bokserskiej terminologii, tylko „wagę piórkową”.

A Wojciech Jaruzelski? Czyż dzisiaj znaczną część społeczeństwa nie darzy go sympatią tylko dlatego, że 13 grudnia 1981 roku pokazał siłę? Kto dzisiaj pamięta o jego poprzedniku na stanowisku I sekretarza KC PZPR, Stanisławie Kani, który między wrześniem 1980 a październikiem 1981 roku sprzeciwił się „towarzyszom radzieckim” i wojskowej rozprawie z wolnościowymi ambicjami Polaków?

■ ZDERZENIE ZE ŚCIANĄ

Zostawmy Peerel. Przykłady bardziej współczesne – Leszek Miller, premier i przywódca Sojuszu Lewicy Demokratycznej, nim nastąpił na minę w słowach „...lub czasopisma” w ustawie medialnej, kreował się na „kanclerza” i cieszył nadzwyczaj wysokim poparciem społecznym. Notowania Donalda Tuska wystrzeliwały, gdy ogłaszał farmakologiczną kastrację pedofilów lub gdy minister spraw wewnętrznych w jego gabinecie groził narodowcom: „Idziemy po was”. Prawo i Sprawiedliwość byłoby dzisiaj niewiele znaczącą partią, gdyby w latach 2000–2001 Lech Kaczyński nie zdołał się wykreować na bezwzględnego wobec przestępców „szeryfa”. Zbigniewa Ziobry i jego partyjki nie byłoby wcale...

Ponad dwa lata „twardych” rządów PiS, wspieranych dobrą koniunkturą w globalnej gospodarce i degradującym media publiczne propagandowym rozmachem, przypadły Polakom do gustu. Zdecydowanie, wizja zmian i ich urzeczywistnianie, choć często dla Polski szkodliwe, budziły respekt. Znaczna część „suwerena” uwierzyła, że oto wreszcie przy władzy znaleźli się politycy, którzy zamiast jadać lunche w „Sowie i Przyjaciółach”, tyrają w ministerialnych gabinetach. Co więcej, osiągają sukcesy. Prawo i Sprawiedliwość rozbudziło apetyt na władzę skuteczną i pracowitą, ale zderzyło się ze ścianą. Okazało się, że świat jest strukturą daleko mniej plastyczną, niż to się politykom prawicy wydawało.

Najbardziej jaskrawym przykładem tego zderzenia ze ścianą – i jak na razie najbardziej spektakularnym – jest sprawa katastrofy smoleńskiej. Przed 2015 rokiem PiS, nie tylko ustami swojego wiceprzewodniczącego Antoniego Macierewicza, zapewniał, że wkrót-

ce wskaże „prawdziwych sprawców” wydarzeń w Smoleńsku. Po blisko trzech latach rządów okazało się, że Macierewiczowska komisja to zespół amatorów, a jej wnioski są tak kuriozalne, że Jarosław Kaczyński zmuszony był odesłać „najlepszemu ministrowi obrony narodowej w dziejach III RP” za kotarę.

Kłęska jego komisji już jest dla PiS problemem, bo część jego elektoratu łatwo może dojść do przekonania, że Jarosław Kaczyński nie chce wyjaśnić wymagowanej zbrodni, poświęcając życie brata na ołtarzu wielkiej polityki. A dla nich nie ma wątpliwości, że w Smoleńsku doszło do zmontowanego przez Kreml zamachu, najpewniej z udziałem Donalda Tuska i wspierającej go Platformy Obywatelskiej.

■ LAWINA JUŻ RUSZYŁA

Oczywiście do takiego wniosku nie dojdzie zbyt wielka liczba osób popierających prawicę, ale bój idzie o każdy procent w najbliższych wyborach parlamentarnych. Każdy, bo nieudana operacja smoleńska – nie tylko nie udało się sprowadzić do kraju wraku TU-154M, ale nawet rozpocząć na ten temat poważnych rozmów z Moskwą – jest kolejną wyrwą w planie zdobycia przez PiS wyborców z politycznego centrum. Ludzi wahających się, których przekonuje polityka socjalna partii Kaczyńskiego i gospodarcze wizje premiera Morawieckiego. Ale po kłęsce komisji Macierewicza, ustawie o Instytucie Pamięci Narodowej i antysemitkich wypowiedziach płynących z prawicy szansa na to jest już zablokowana.

Kłęska w sprawie Smoleńska, na której PiS zbudował swoją pozycję przed wyborami 2015 roku, obnażyła słabość tej partii: brak kadr, filozofię chodzenia na skrót, łącznie z łamaniem obowiązujących procedur, byle tylko osiągnąć propagandowy efekt (Macierewicz dowodzi nie komisją, bo jej skład regulują precyzyjne przepisy, a tylko podkomisją), prymat własnego interesu nad obiektywną prawdą, brak zdolności do współpracy międzynarodowej. Przy okazji wyszło na jaw, że wszechmoc i sprawność „obozu dobrej zmiany” to mit. Upadek tego mitu, zapoczątkowany przez Macierewicza, będzie coraz bardziej kruszył nie tylko zaufanie wyborców, ale również spoiwość obozu rządzącego. „Najlepszy minister obrony w dziejach III RP” naruszył skałę, która powstrzymywała lawinę.

Lawina ruszyła i schodzi już nie tylko „smoleńską doliną”. Kłęską okazała się też polityka międzynarodowa. Nie chodzi tylko o słynne

27:1, bardziej o plan zbudowania Międzymorza, w którym Polska miała odgrywać rolę wiodącą (dla wielu Polaków oznaczało to, że stajemy się mocarstwem), konstruując sojusz przeciwko dominacji w Europie Niemiec i Francji. Po ogłoszanych z typowym dla prawicy zacięciem planach pozostały tylko uśmiechy wymieniane przez Andrzeja Dudę z piękną prezydent Chorwacji. Polacy widzą też, że polscy premierzy nie jeżdżą do Brukseli rozmawiać, ale się tłumaczyć. Nie mogą nie dostrzec różnicy między dawnymi spotkaniami Donalda Tuska z niemiecką kanclerz i francuskim prezydentem a wizytami Andrzeja Dudy bądź Mateusza Morawieckiego u władcy peryferyjnych Węgier.

■ AFERY I WEWNĘTRZNE KONFLIKTY

Polityka zagraniczna obchodzi niewielu Polaków, ale już gospodarcze afery obchodzą każdego. Dojrzewająca dopiero afery firmy GetBack to kolejny pokaz nieskuteczności rządzących. Gdy dojrzeje – zaboli. Pamiętajmy, że liczba poszkodowanych (to znaczy tych, którzy stracili pieniądze) jest w tej sprawie większa niż w zabójczej dla PO aferze Amber Gold. Wówczas politycy PiS mówili o „teoretycznym państwie”. Co powiedzą „suwerenowi” jutro? Jedno jest pewne, ta sprawa obnaży słabość władzy. A będzie tych afer więcej.

Obóz „dobrej zmiany” wyraźnie gnije. U podłoża rozkładu leży nie tylko coraz bardziej widoczny brak skuteczności, ale także narastające konflikty personalne, których polski wyborca nie znosi. I sygnalizuje to od początku III RP. Konflikt w dawnym obozie solidarnościowym miał niemały wpływ na przegraną Lecha Wałęsy w wyborach prezydenckich w 1995 roku, mocno doświadczyły tego partie tworzące w latach 1997-2000 koalicję AWS-Unia Wolności, a później Sojusz Lewicy Demokratycznej. W 2014 roku, po wyjeździe Donalda Tuska do Brukseli, w odczuciu wyborców również Platforma Obywatelska przestała być monolitem.

Bodaj najbardziej spektakularnym przykładem ugrupowania rozłożonego przez walki wewnętrzne był Sojusz Lewicy Demokratycznej. Ta partia nigdy nie była ugrupowaniem wodzowskim, zawsze miała przynajmniej dwóch liderów – Aleksandra Kwaśniewskiego i Leszka Millera. *Za nimi funkcjonował drugi szereg: Krzysztof Janik, Józef Oleksy, Marek Borowski oraz Jerzy Szmajdziński. Mieli dużo do powiedzenia, każda decyzja wymagała ich przynajmniej minimalnej akceptacji. Dzięki temu mieliśmy walki koterii, ale z drugiej strony każda*

decyzja partii była „ucierana” i w efekcie bardziej wyważona – opowiada Andrzej Brachmański, poseł Sojuszu w latach 1993-2005 i wiceminister spraw wewnętrznych. – A był jeszcze trzeci szereg, składający się z wojewódzkich baronów i wiceministrów. Z czasem, gdy partia na skutek afery Rywina zaczęła tracić w sondażach, wewnętrzne konflikty przybierały na sile, infekowały partyjny aparat i wypływały na zewnątrz. Kolejnym krokiem była klęska potężnej do niedawna partii w wyborach parlamentarnych w 2005 roku.

■ SIŁOSOWA STRUKTURA WŁADZY

Na razie w PiS-ie otwartych wojen nie ma, ale podskórne konflikty zaczynają nabrzmiewać. To efekt stylu rządzenia Jarosława Kaczyńskiego, który lubi podsycać spory między swoimi akolitami, zapewniając sobie w ten sposób kontrolę nad partią. Przez lata metoda się sprawdziła. Teraz jednak wiele się zmieniło. Po pierwsze, chory i coraz starszy prezes może poświęcać wojenkom swoich współpracowników mniej czasu i uwagi. Także, a może przede wszystkim dlatego, że zaprzętają jego uwagę również kwestie państwowe. Po drugie, gdy partia była w opozycji, wewnętrzne konflikty angażowały uwagę jedynie partyjnego aparatu, obecnie koncentrują uwagę znacznej części społeczeństwa. W tym także mediów, które, zgodnie ze swą naturą, jeszcze je podsycają. Ale najważniejsze, że gdy partia była w opozycji, napuszczani na siebie przez Kaczyńskiego politycy dowodzili tylko – by użyć zwrotu z czasów Ludowego Wojska Polskiego – „na ograniczonym teatrze działań wojennych”. Dzisiaj najważniejsi ludzie PiS-u zasiadają na ministerialnych posadach. Pokusa wykorzystania w wewnętrznej walce o władzę aparatu państwowego jest zbyt wielka, aby się jej oprzeć. Kiedyś mieli do dyspozycji tylko broń konwencjonalną, teraz mogą użyć atomowej. I użyją, to tylko kwestia czasu.

Także dlatego, że cały obecny system władzy jest dysfunkcyjny. Odwołam się do czasów, gdy Mateusz Morawiecki kierował Bankiem Zachodnim WBK. Jedną z doktryn jego prezesury było – zgodnie z ówczesną modą w globalnym korpo-świecie – przełamanie tzw. silosowej struktury organizacji. W uproszczeniu rzecz polegała na tym, że bank prowadził konto osobiste klienta X, ale nie potrafił już go przekonać, aby zaciągnął w tym samym banku kredyt na zakup nieruchomości albo otworzył w nim także konto prowadzonej przez siebie firmy. W BZWBK Morawieckiemu udało się w dużym

stopniu siłosy zlikwidować. W administracji państwowej o sukcesie nie ma mowy. Także dlatego, że warunkiem jest silne przywództwo. W sytuacji, gdy nad rządem stoi „naczelnik”, podejmujący ostateczne decyzje w każdej sprawie, o żadnym silnym przywództwie mowy nie ma. W efekcie silosowa struktura państwa się pogłębia. Przykładem plan budowy w Polsce elektrowni atomowej. Aby tę gigantyczną inwestycję sfinansować – a jednocześnie utrzymać przy życiu górnictwo, bo rząd PiS-u boi się zamykania kopalń – trzeba było podnieść ceny energii elektrycznej. Zrobiono to, zamykając polski rynek na tanią energię wiatrową z Niemiec. W efekcie koszty energii dla odbiorców przemysłowych są dzisiaj w Polsce o przeszło 40 proc. wyższe niż u naszego zachodniego sąsiada i cały czas rosną. Rosną też koszty produkcji, co oznacza, że spada konkurencyjność polskich firm na rynku europejskim. Typowa sytuacja, w której jeden silos (w tym wypadku zwolennicy elektrowni atomowej w sojuszu z górnictwem, do którego wiecznie musimy dopłacać) pokonało silos właścicieli firm produkcyjnych i usługowych. Takich przykładów jest więcej, a ich liczba będzie rosła.

■ WOJNA O SCHEDE

Przywódcą i ostateczną wyrocznią jest w obozie rządzącym nie Morawiecki, ale Jarosław Kaczyński. Beata Szydło w czasach szefowania Radzie Ministrów panowała zaledwie nad kilkoma resortami, teraz jest to może mniej widoczne, ale rzeczywiste „władztwo” Mateusza Morawieckiego jest niewiele większe. Nie obejmuje nawet całej sfery gospodarczej, skoro najważniejsze stanowiska w kilku kluczowych spółkach Skarbu Państwa, choćby w PZU SA, obsadzają ludzie Zbigniewa Ziobry. A to ma znaczenie podstawowe, bo obecna władza uczyniła z tych spółek ważny instrument swojej polityki gospodarczej. A także narzędzie realizacji swoich celów politycznych. Jarosław Kaczyński, który ma za sobą doświadczenia Akcji Wyborczej Solidarność – w koalicyjnym rządzie współtworzonym przez AWS i Unię Wolności jego brat był przez nieco ponad rok ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym – nie wyciągnął żadnych wniosków z przykładu Mariana Krzaklewskiego, który również rządził „z tylnego siedzenia”. Ten model skompromitował się całkowicie w latach 1997–2001 i kompromituje się obecnie. Zdaniem apologetów marszałka Piłsudskiego sprawdził się w latach trzydziestych (co zresztą

nie jest prawdą), więc musi też sprawdzić się dzisiaj. Tyle że się nie sprawdza. Nie może. Nie tylko dlatego, że Kaczyńskiemu do Marszałka daleko, także dlatego, że dzisiejsze państwo jest strukturą dalece bardziej skomplikowaną niż było ponad osiemdziesiąt lat temu.

Działacze PiS-u nie oprą się możliwości użycia „broni atomowej” w konfliktach wewnętrznych także dlatego, że toczą obecnie wojnę o schedę po Jarosławie Kaczyńskim. Dla niektórych jest to bój na (polityczną) śmierć i życie. Kaczyński deklaruje wprawdzie, że pójdzie śladami niemieckiego kanclerza Konrada Adenauera, który rządził Republiką Federalną Niemiec do 87. roku życia, ale dochodzące z PiS sygnały zdają się wskazywać, że nie wierzą w to nawet jego najbliżsi współpracownicy. Zmusza ich to do podejmowania prób utracenia kontrkandydatów. Ta walka będzie coraz brutalniejsza. Także dlatego, że pretendenci będą coraz bardziej niecierpliwi. Wbrew nadziejom zwolenników tej partii i jej działaczy, w PiS-ie nie dojdzie do „aksamitnej rewolucji” – dyktatorzy nigdy nie przekazują władzy dobrowolnie. Do końca uważają, że są niezastąpieni, a żaden z ewentualnych następców nie jest dość dobry, aby zasiąść na najważniejszym fotelu.

■ WYŚCIGI DELFINÓW

Przypomnijmy sobie PRL. Gomułka myślał o kilku „delfinach” – brał pod uwagę Józefa Tejchmę, Edwarda Gierka, Stanisława Kociołka – ale ostatecznie wstrzymywał się z decyzją. Gierek, gdy w końcu został I sekretarzem PZPR, roił o następcy, ale czynił to wyłącznie w pierwszych latach swoich rządów, później temat zniknął. Swoich następców nie nominowali również Bolesław Bierut i Wojciech Jaruzelski.

Obiektywnie rzecz biorąc – nie mogli. Wyznaczenie następcy powoduje, że władza nieubłaganie odpływa do „delfina”, a stary przywódca jest coraz bardziej i bardziej marginalizowany. W końcu pozostają mu tylko ornamenty. A Jarosława Kaczyńskiego berło, czyli honorowa prezesura partii, nie interesuje. Dla niego ważna jest wyłącznie realna władza. I bez wątpienia, jak wielu przed nim, uważa, że żaden z pretendentów nie jest dość dobry, aby go zastąpić. A pretendenci każdego dnia udowadniają, że akurat w tej sprawie prezes ma absolutną rację.

Na razie sondażowe wyniki Prawa i Sprawiedliwości są bardzo dobre. To powstrzymuje harcówników. Ale gdy się pogorszą, dzisiejsza „zimna wojna” przerodzi się w „gorącą”. Ambicje takich ludzi, jak Zbigniew Ziobro,

Joachim Brudziński, Antoni Macierewicz czy Mateusz Morawiecki sięgają najwyższego szczybla. A pretendentów do tronu będzie więcej. Przynajmniej część przegranych odejdzie z partii, zabierając swoich wyznawców. Już zresztą widać, że wielu po cichu realizuje „plan B”: Ziobro ma swoją Solidarną Polskę i pracowicie obsadza jej działaczami istotne stanowiska. Nie po to przecież, żeby działaczom żyło się lepiej, ale aby zwiększać liczbę wdzięcznych akolitów. Macierewicz ma Ruch Katolicko-Narodowy, a Kornel Morawiecki tworzy struktury terenowe partii Wolni i Solidarni, która w razie potrzeby „przytuli” jego syna. Niewykluczone, że prawnicę czeka powtórka z legendarnego Konwentu św. Katarzyny.

Rozszczelnienie obozu prawicy następuje nie tylko z powodu walk personalnych. Na horyzoncie, nie tak znowu odległym, są konflikty ideowe, zawsze w tym środowisku silne. Na pierwszy plan wysuwa się projekt zaostrzenia ustawy aborcyjnej, co oznacza po prostu wprowadzenie całkowitego zakazu aborcji. W tej sprawie coraz mocniej naciska Kościół katolicki, ale też inne środowiska. Na razie Kaczyńskiemu udaje się spychać sprawę na boczny tor, ale w kwestiach ideologicznych bocznica nigdy nie jest dobrym rozwiązaniem. Nic nie wskazuje na to, aby Kościół, który przez lata mocno i bez najmniejszej żenady wspierał PiS, teraz zrezygnował z serwitutów.

■ UTRATA SPOŁECZNEGO WĘCHU

Komentatorów zaskakuje, jak krótką pamięć mają politycy, jak łatwo nawet ci najdłużej obecni na scenie politycznej zapominają własne i konkurentów doświadczenia. Dobrym przykładem jest protest matek osób niepełnosprawnych w Sejmie. Dokładnie taki sam jak w 2014 roku. PiS wykazuje w tej sprawie arogancję, której – po siedmiu, a nie niespełna trzech latach rządzenia – nie miała nawet oskarżana o wyniosłość Platforma Obywatelska. Nawoływania polityków Prawa i Sprawiedliwości do siłowego usunięcia protestujących, lekceważące wypowiedzi przewodniczącego Klubu Parlamentarnego PiS Ryszarda Terleckiego i wicemarszałek Beaty Mazurek, wicepremier ds. społecznych Beata Szydło, a wreszcie minister Rafalska podpisująca porozumienie nie z protestującymi, ale z organizacją powołaną przez jej resort, to pokaz buty i arogancji, z jakim dawno już nie mieliśmy do czynienia. PiS stracił społeczny węch. Każda władza go traci, ale rzadko dzieje się to tak błyskawicznie.

Gdy Donald Trump został prezydentem Stanów Zjednoczonych, polecił, aby w każdym pokoju, w którym będzie się podczas swojej prezydentury zatrzymywał, były trzy telewizory. Chodziło o to, aby prezydent mógł oglądać kanały informacyjne różnych stacji, nie tylko swój ulubiony, prawicowy FOX News. Ta metoda pozwala Trumpowi poznawać różne opinie i argumenty. Można mieć do jego prezydentury wiele zastrzeżeń, ale jest faktem, że po piętnastu miesiącach rządzenia ma wyższe poparcie, niż po tym samym okresie miał Barack Obama. W PiS-ie tymczasem ogląda się wyłącznie ociekające lukrem informacje „telewizji narodowej” i czyta to, co napiszą „dziennikarze niepokorni”. W ten sposób politycy „masują” swoje ego, ale sytuacji w kraju nie znają i coraz mniej z niej rozumieją. Są jak wspomniany na początku Jaruzelski lub Leonid Breżniew, dla którego świętością i codzienną celebrą było oglądanie dziennika *Wremia*.

■ TAK ZACZYNA SIĘ ODLOT

Brak dostępu do opinii spoza własnego obozu i środowiska jest zabójczy. Ale ulegają mu politycy wszystkich opcji. Andrzej Brachmański z SLD opowiedział mi, jak wygląda ten mechanizm: *Polityk żyje we własnym świecie, którego centrum stanowi Sejm i ważne jest tylko to, co dzieje się w tym świecie. Oczywiście polityk spotyka się też z terenowymi działaczami swojej partii, ale oni starają się, aby zostać dobrze zapamiętani, więc schlebiają gościowi, nie przedstawiają jakichś kontrowersyjnych sądów, bo tych polityk słuchać nie chce. Oczywiście czasem musi się też spotkać z normalnymi ludźmi. Ale na te spotkania przychodzą z reguły tylko zwolennicy jego partii, bo o to dbają terenowi działacze partii. Po drugie, jeśli nawet słyszy się na nich krytykę, to człowiek myśli, że oni na niczym się nie znają, nic nie rozumieją, że on ma więcej informacji, te informacje czerpie z samej góry, a oni, tam na dole, widzą tylko wycinek spraw.* Tak zaczyna się odlot. Tak zaczyna gnić władza.

Przypomnijmy sobie wystąpienie w Sejmie 22 marca br. Beaty Szydło. Broniła nagród dla swoich ministrów z zajądłością, ale i pełnym przekonaniem. Widać było, że jest absolutnie przekonana, iż jej ministrom – oraz jej samej – nagrody się należą. Całkowicie rozminęła się ze społecznymi nastrojami, a reakcja posłów jej partii, burzliwe oklaski, świadczyły o tym, że rozminęła się z nimi cała partyjna wierchuszka.

Arogancja, którą prawica pokazała w sprawie nagród, okaże się bolesna i akcja oddawa-

nia pieniędzy nie bardzo to zmieni. Owszem, zostanie dobrze przyjęta przez twarde elektorat tej partii, media „niezłomne” nadadzą jej wielki rozmach, ale „elektorat wędrujący” został już zrażony. Tym bardziej że system ten objął nie tylko ministrów, ale również niższe szczeble państwowej administracji, w tym nawet kierowców wicepremiera Glińskiego. PiS zapomniał, co spotkało Platformę Obywatelską, a w wypadku prawicy uderzenie będzie jeszcze mocniejsze. Także dlatego, że to ugrupowanie zbudowało swój wizerunek na uczciwości i bliskich związkach z „ludem”. Kreowało się na przeciwnika elit, reprezentanta „zwykłego człowieka”. Teraz okazuje się, że ten reprezentant robotnika z Hajnówki, sklepowej z Nowego Tomysła i rolnika spod Trzemeszna odebrał 80 000 zł. Każdy specjalista od marketingu wie, że gdy wizerunek rozjeżdża się z produktem, zawsze następuje klęska. A ten wizerunek rozjeżdża się coraz bardziej – postępowanie wobec rodzin osób niepełnosprawnych też jest tego przykładem. PiS przemawia dzisiaj do „suwerena” słowami Lecha Kaczyńskiego: „Spięrzaj dziadu”.

Przywoływanie programu 500+ i kolejne transfery socjalne nie zahamują spadku, mogą go tylko na chwilę spowolnić. Pycha zawsze kroczy przed upadkiem...

■ W GOSPODARCE WCALE NIE JEST TAK RÓŻOWO

Tym bardziej że wiele wskazuje na to, iż polska gospodarka zaczyna dostawać zadyszki. W światowych danych nie ma już optymizmu sprzed kilku miesięcy, a konkurencyjność polskich spółek spada. Także z powodu działań rządu – przywrócenie wcześniejszych emerytur powoduje coraz większe turbulencje na rynku pracy, w firmach rosną koszty spowodowane m.in. wprowadzaniem nowych zasad oszczędzania na własną emeryturę. Wyhamowuje też dynamika wzrostu ściągłości VAT. Wszystko to odbija się na finansach państwa, a w konsekwencji na możliwościach rządu transferowania pieniędzy do „suwerena”.

Spada też wiara przedsiębiorców, że rząd rzeczywiście stawia na przedsiębiorczość. Co rusz wprawdzie padają takie zapewnienia, ale coraz bardziej przypominają one peerelowskie „zielone światło dla rzemiosła”, które zawsze błyskawicznie zmieniało się na czerwone. Nie chodzi tylko o idiotyczny pomysł z „daniną solidarnościową” – mimo pięknej nazwy będzie to kolejny podatek – ale także o twarde dane. Z informacji GUS-u wynika, że segment średnich spółek – przy wzroście gospodarczym wynoszącym 4,6

proc. – zanotował w pierwszym półroczu 2017 roku spadek rocznych zysków aż o blisko 9 proc. W tym segmencie polskiej gospodarki pracuje 1,5 mln osób, wraz z rodzinami to blisko 5 mln osób. Im poziom życia po prostu spada.

Nieuniknione spadki w sondażach oznaczają wzrost nerwowości we własnych szeregach i nasilenie wewnętrznych konfliktów. Posłowie Zjednoczonej Prawicy rozumieją, że w przyszłym parlamencie prawica może mieć mniej foteli. To oznacza, że głównym wrogiem nie będzie już konkurent z PO, PSL, czy Nowoczesnej. Prawdziwym wrogiem będzie partyjny kolega z tego samego okręgu. To zawsze, w PiS nie będzie inaczej, oznacza nasilenie walk wewnętrznych. Taka podjazdowa walka powoduje, że część terenowych działaczy partii odsuwa się na bok, a w związku z tym możliwości aparatu się zmniejszają. W efekcie zmniejszają się możliwości przekonania potencjalnych wyborców. Błędne koło, na które Prawo i Sprawiedliwość właśnie wkroczyło.

■ NIEWYGODNY KALENDARZ WYBORCZY

To nie oznacza jeszcze przegranej w najbliższych wyborach parlamentarnych, ale ją przybliża. Proces gnilny może trwać nieco dłużej niż dwa lata dzielące nas od kolejnej elekcji, historia daje wiele tego przykładów. Z tym że kalendarz wyborczy jest dla PiS niewygodny. Przed wyborami parlamentarnymi czekają nas samorządowe, a później do Parlamentu Europejskiego. W obu szanse na spektakularny sukces prawicy są, tradycyjnie, niewielkie. Tyle że im dłużej gnicie władzy będzie trwało, tym skutki tego procesu będą gorsze. Niestety, nie tylko dla partii rządzącej.

Piotr Gajdziński